

**KONWERSATORIUM LXIII**  
**BŁOGOSŁAWIENI, KTÓRZY WPROWADZAJĄ POKÓJ, ALBOWIEM ONI**  
**BĘDĄ NAZYWANI SYNAMI BOŻYMI**  
(20 kwietnia 2013)

**Prowadzący:** **Andrzej Szpor**, prawnik, mediator, członek zespołu do rozwiązywania sporów i konfliktów przy Wydziale Prawa i Administracji UW; **ks. dr Paweł Wojtas**, kapelan krajowy więziennictwa; **Maja Komorowska**, aktorka; **Anna Słomka**, nauczyciel.

**Ks. dr Paweł Wojtas**

Bardzo serdecznie dziękuję za zaproszenie. Uważam, że dla nas, osób pracujących w zespole penitencjarnym w Polsce, czyli w systemie więziennym, ochronno-więziennym, możliwość wypowiedzenia się o naszej pracy, w kontekście potrzeb społecznych, w kontekście problemów społecznych jest szalenie ważna, tym bardziej że, niestety, wzrasta przestępczość w Polsce i to zwłaszcza wśród ludzi młodych. W związku z tym dla osób realizujących, kierujących życiem społecznym, dla nauczycieli, dla pedagogów, dla osób pracujących z młodymi ludźmi wiedza o tym pozwala realizować właściwe programy pomocy młodemu człowiekowi, aby uchronić go od patologii, od przestępstwa, od sytuacji, które niszczą ludzkie życie, szczególnie młode życie.

Od 23 lat pracuję w systemie duszpasterstwa więziennego, a od 11 lat kieruję tym systemem w Polsce. Od 10 lat organizuję konferencje duszpastersko-penitencjarne, na których my, osoby pracujące z przestępcami, z młodymi przestępcami, z młodymi więźniami spotykamy się z przedstawicielami instytucji, które pracują z młodymi ludźmi, takimi jak szkoły, młodzieżowe ośrodki socjoterapeutyczne, młodzieżowe ośrodki wychowawcze czy świetlice środowiskowe, aby wspólnie chronić młodego człowieka przed przestępstwem.

Dzisiejsze problemy wychowawcze, najkrócej mówiąc, polegają na braku dialogu między rodzicami a dziećmi. Rodzice zajęci są pracą, poszukiwaniem pracy, realizacją tej pracy i w związku z tym rodzice często mówią: masz pieniądze, daj mi spokój, bo ja nie mam czasu, bo pracuję, lub: daj mi spokój, jestem zmęczony, nie mam czasu. W związku z tym często jest tak, że młody człowiek ma pieniądze, większe bądź mniejsze, natomiast nie ma relacji z rodzicami, nie ma dialogu między pokoleniem dorosłym a pokoleniem dorastającym. Jest to bardzo poważny problem w obecnej sytuacji demograficznej, pedagogicznej i socjalnej w Polsce.

W ramach duszpasterstwa więziennego w Polsce widzę parę priorytetów. Po pierwsze, praca z młodymi przestępcami. Są to młodzi ludzie, których umysły są jeszcze elastyczne i którym można pomóc uniknąć recydywizmu, czyli powrotu do przestępczości. Pomóc im poukładać właściwie ich życie.

Drugim obszarem naszej pracy, szalenie istotnym, są kobiety w izolacji więziennej. W Polsce dziś na prawie 89 tysięcy więźniów mamy około 2 tysiące kobiet. Jest to bardzo mało w stosunku do mężczyzn, natomiast ich wyroki, czy sprawy, są bardzo poważne. Mężczyźni

w bardzo wielu wypadkach idą na krótki okres do więzienia za jakieś drobne przestępstwa, natomiast kobiety najczęściej skazywane są za zabójstwa. Jest to prawie 90% zasądzonych. Skąd się to bierze? Najczęściej zdarza się to w układach między kobietą a mężczyzną. Mężczyzna namawia czy zaprasza kobietę do picia, do narkotyków, a potem pod wpływem alkoholu mężczyzna staje się bardzo agresywny wobec kobiety, bije ją, gwałci, ona w końcu nie wytrzymuje, bierze nóż i zabija. Kobieta ta w izolacji więziennej ma podwójną traumę, bo sama była bita, katowana przez tego mężczyznę, z którym była, a potem druga trauma, bo odebrała mu życie. W tym zakresie mamy wypracowaną metodę teatroterapii, w której piszemy scenariusze i pomagamy odgrywać kobietom te najtrudniejsze sytuacje, aby pomóc im zrozumieć sytuację, w której się obecnie znajdują i pomóc im na przyszłość jakoś spokojniej i swobodniej ustawiać swoje relacje życiowe.

Trzecim priorytetem naszej działalności jest praca z funkcjonariuszami. Ustawa o służbie więziennej mówi, że funkcjonariusze mają wpisane w ryzyko zawodowe sposób odnoszenia się więźniów do funkcjonariuszy. Osadzeni niejednokrotnie przysparzają wielu problemów wychowawczych. Jeśli funkcjonariusz otwiera przez osiem godzin dziennie cele i słyszy przez cały ten czas wulgaryzmy pod swoim adresem lub innych osadzonych oraz jest świadkiem obrzydliwych zachowań więźniów wobec funkcjonariuszy, to takie zachowanie często przekracza granice możliwości ich przyjmowania w sposób obojętny, bez emocji. Dlatego zdarza się, że funkcjonariusze przed powrotem do domu, chcąc odreagować stresy, sięgają także po alkohol, a potem ich żony robią im wymówki. Przekłada się to na złe relacje rodzinne. Mamy więc w tym zakresie wiele do oddziaływania.

Chciałbym jeszcze powiedzieć o trzech zasadniczych stopniach pracy z osadzonymi.

Jeśli wejdziecie państwo do więzienia i porozmawiacie z więźniem, to on najczęściej powie, że jest niewinny. Wszystko jest winne, wszystkie okoliczności, natomiast on sam nie jest winny. Pierwszym stopniem naszej pracy, jest więc potrzeba aby mu pomóc zrozumieć, że to on dokonał przestępstwa i to on jest winny. Oczywiście analizujemy, co się stało w ramach tego przestępstwa, że ono miało miejsce, ale trzeba pomóc zrozumieć i zaakceptować własną winę. Czyli pierwszy zasadniczy moment to jest pomóc mu pojednać się z samym sobą, czyli pomóc mu zrozumieć rzeczywistość jego sytuację, żeby mógł powiedzieć „tak, to ja dokonałem tego przestępstwa i teraz muszę zacząć myśleć, co dalej”.

Drugim szalenie istotnym momentem to pomóc więźniowi pojednać się ze społeczeństwem, czyli pomóc mu rozpocząć naprawczy proces w sobie samym. Każde przestępstwo to krzywda wobec jednego człowieka lub wielu ludzi, czyli każde przestępstwo ma wymiar społeczny. Trzeba pomóc więźniowi wrócić do społeczeństwa przez odrobienie czy naprawienie wyrządzonej krzywdy.

Trzecim, najtrudniejszym momentem, który nie zawsze się udaje, to pomóc skazanemu pojednać się z ofiarą przestępstwa lub z najbliższymi ofiary, jeśli ofiara nie żyje. Pamiętam dobrze jedną taką sprawę. Dwóch serdecznych kolegów któregoś razu pobiło się o dziewczynę i jeden drugiego zabił. Rodzice zabitego doskonale znali rodziców tego, który zabił, bo chłopcy razem wzrastali i chodzili do jednej szkoły. Uczestniczyłem kilka lat w procesie przebaczenia rodziców ofiary z tym, który zabił ich syna. Kiedy udało się do tego doprowadzić i rodzice ofiary wybaczyli zabójcy po kilku latach, byli wdzięczni i dziękowali za

to. Oczywiście nikt nie przywróci życia już nieżyjącemu synowi, ale jest łatwiej żyć, jeśli się przebaczy.

Inny przykład zaczerpnąłem ze wspomnień pisanych przez samych więźniów. Jeden z nich napisał mi ostatnio: „Pochodzę z rozbitej rodziny. Kiedy rodzice rozwiedli się, ja w wieku 4 lat zamieszkałem z ojcem i babcią, a moja młodsza siostra z mamą. Niestety wychowałem się bez Boga i bez Kościoła, mimo że odkąd sięgam pamięcią, zawsze wierzyłem w Boga. Moi rodzice nie ochrzcili mnie, mimo że ja wielokrotnie prosiłem ojca, aby mnie ochrzcił. Myślałem wtedy, że człowiek, który nie jest ochrzczony, nie może chodzić do Kościoła i nie jest godny mówienia o Bogu. W wieku 15 lat przeżyłem bardzo boleśnię śmierć ojca. Odszedł, zostawiając mnie na pastwę losu. Od tego czasu zaczęły się moje problemy. Mając 16 lat, poznałem dziewczynę. Bardzo wcześnie zaczęliśmy współżyć, czego owocem było dziecko. Tak zostałem ojcem córeczki, mając 17 lat. Niestety więcej czasu spędzałem z kolegami na podwórku, pijąc alkohol i paląc marihuanę. Zawałałem każdą pracę, jakiej się podjąłem. Piłem coraz więcej. Urodziło mi się jeszcze dwóch synów. Zaniedbałem nawet chrzciny dzieci. Zacząłem brać narkotyki dożylnie. Wtedy zaczął się największy koszmar mojego życia. Zacząłem tracić wszystko, co mi zostało. Rodzinę, resztki prac dorywczych, samego siebie. Płynąłem w nałogu bez żadnych hamulców. Traciłem wszystko, aż w końcu zostałem sam w czterech pustych ścianach. W końcu na skutek przestępstw trafiłem do więzienia. Pierwsze dni więzienia spędziłem w więziennym szpitalu. Było mi ciężko, byłem zmęczony fizycznie, psychicznie, pusty duchowo. Pamiętam, jak pierwszego dnia, zwijając się z bólu, na głodzie narkotycznym, postanowiłem zmienić swoje życie. Zwróciłem się do Boga. Bóg zaczął stawiać dobrych ludzi na mojej drodze. Kolejnego dnia kapelan więzienny chodził po celach i zapraszał na uroczystość pierwszej Komunii Świętej. Pomyślałem wtedy, że nadarza się szansa na mój chrzest. Zacząłem przygotowania do Chrztu świętego i pierwszej Komunii Świętej. Po chrzcie i pierwszej Komunii Świętej jednego ze skazanych, które odbyły się w więziennej kaplicy, dowiedziałem się, że jestem zarażony HIV, załamałem się wtedy psychicznie, ale nie duchowo. Wiedziałem, że choroba nie jest karą, ale nagrodą, że dzięki tej chorobie inaczej spojrzę na Boga. (...) Ostatnio Bóg oddał mi rodzinę. Najważniejsze, że mi rodzina wybaczyła. Chrzciny moich dwóch synów odbyły się w więziennej kaplicy. Kiedy wyjdę na wolność i będę mógł z nimi być, na pierwszym miejscu będzie Bóg. Żona i dzieci nie są zarażone HIV, zaakceptowali mnie i moją chorobę. To jest kolejny dowód dla mnie na istnienie Pana Boga”.

### **Andrzej Szpor**

Przedstawiając się – zwyczajowo – wymieniam wykształcenie (prawnik) i zajęcie (mediator) oraz organizację, w której pracuję (Centrum Rozwiązywania Sporów i Konfliktów przy Wydziale Prawa i Administracji UW), pominąłem jednak trzy informacje o sobie, które są dla mnie bardzo istotne w kontekście tematu dzisiejszego panelu. Po pierwsze, jestem wierzący. Po drugie, jestem mężem i – razem z żoną – działam we wspólnocie „Małżeńskie Drogi”, organizującej rekolekcje dla narzeczonych i małżeństw metodą dialogową. Po trzecie, byłem przez kilka lat nauczycielem akademickim (Wydział Prawa i Administracji UW) oraz urzędnikiem państwowym.

To w pracy zetknąłem się po raz pierwszy z ideą rozwiązywania konfliktów – na kursie negocjacji i mediacji. Dzięki tej wiedzy zacząłem odkrywać, jak bardzo prawo, procedury prawne i wymiar sprawiedliwości są nieefektywnym mechanizmem społecznym, jak trudno dzięki niemu rzeczywiście rozwiązywać konflikty i im zapobiegać. Zdarzyło mi się kiedyś doświadczyć boleśnie tej prawdy – jako urzędnik przejąłem prowadzenie sprawy, w której przedsiębiorca domagał się kiedyś od urzędu pomocy w swoim sporze z dużą firmą. Niestety dla niego, prawo nie pozwalało udzielić mu takiej pomocy. Kiedy więc odmówiono mu, wystąpił do sądu – tym razem przeciwko urzędowi. Po raz pierwszy spotkałem tego przedsiębiorcę twarzą w twarz dopiero na rozprawie w ostatniej instancji. Sąd przyznał rację urzędowi, ale ja miałem poczucie, że sprawę przegrałem razem z tym przedsiębiorcą. Zobaczyłem bowiem człowieka, którego konflikt przerósł. Człowieka, który zaangażował się w spór tak bardzo, że nawet jego adwokat nie potrafił go powstrzymać od przegranej. Człowieka, który poświęcił mnóstwo czasu, energii, pieniędzy i nerwów w walce, która była skazana na niepowodzenie. I zacząłem się zastanawiać, czy nie dało się tego uniknąć. Być może należało więcej uwagi poświęcić temu przedsiębiorcy na początku – zrobić wszystko, żeby miał on szansę zrozumieć i uznać naszą argumentację, przyjąć odmowę bez utraty zaufania do nas. W świetle prawa moje postępowanie było właściwe, ale nie zapobiegło to wyniszczającej dla niego wojnie prawnej.

Wtedy uświadomiłem sobie, że rola mediatora bardziej mi odpowiada. Mediatorzy – bardziej niż prawnicy – mogą troszczyć się o strony konfliktu. Starają się o wzajemne zrozumienie, akceptację i pokój, a nie o zwycięstwo jednej strony nad drugą. Wiedzą, że czasem konflikt zabrnije tak daleko, że tylko sąd może sporem się zająć, ale potrafią stronom pomóc uniknąć tej ostateczności. Pracując jako mediator interesuję się stanowiskiem strony, ale po to, żeby zrozumieć człowieka, który je sformułował – jego system wartości, jego potrzeby, wiedzę i przeżycia. I wiem, na przykład, że im więcej emocji, tym trudniej stronom rozeznaczyć właściwie swoją sytuację, tym trudniej usłyszeć prawdę, uznać fakty i zebrać wszystkie informacje, które są niezbędne do tego, by w konflikcie zachować się konstruktywnie. Widzę też wyraźnie, jak słabo byłem przygotowany do radzenia sobie z konfliktami po studiach prawniczych. Ich program, tak jak cała kultura prawna, nie nadała za wielkimi osiągnięciami nauk społecznych w ciągu ostatnich 30 lat.

Wróćmy jednak do tematu naszego konwersatorium, to jest do siódmego błogosławieństwa, które dotyczy „wprowadzających pokój”. O jaki pokój tu chodzi? Warto pamiętać, że błogosławieństwo to zostało sformułowane po hebrajsku, przez pobożnego Żyda. W języku polskim przywykliśmy rozumieć pokój jako przeciwieństwo wojny. Tymczasem chodzi tu o ten pokój, na znak którego podajemy sobie dłonie podczas Mszy świętej, ten sam, o którym mówi ksiądz, wchodząc do mieszkania w czasie odwiedzin kolędowych. Życzenie „Pokój temu domowi” nie ma chronić nas przed kłótniami rodzinnymi. Jego treść jest znacznie bogatsza. Po pierwsze, pokój oznacza pełnię, stan, w którym niczego ważnego nam nie brakuje. Po drugie, pokój oznacza harmonię – nie tylko w relacjach międzyludzkich, ale też i harmonię wewnętrzną, a co najważniejsze – harmonię z Bogiem. Konsekwencją pełni i harmonii są pozostałe elementy składowe pokoju: dobrobyt, szczęście i radość. W ten sposób rozumiane są odpowiedniki słowa „pokój” w języku hebrajskim (*shalo'm*), ale również w

języku arabskim (*al'salam*). Uderzające jest w związku z tym podobieństwo żydowskiego pozdrowienia *Szalo'm alehem* do arabskiego *Salem alejkum*. Jakie to smutne, że mimo tych podobieństw Arabom i Żydom tak trudno o wspólny pokój w Ziemi Świętej.

Jako mediator skupię się jednak w dalszej części na tym wąskim rozumieniu pokoju, żeby zastanowić się, w jakiej przestrzeni szukamy i pożądamy pokoju. Są według mnie trzy takie podstawowe przestrzenie, które wymagają naszej uwagi i troski. Pierwsza to przestrzeń osobista – pokoju wewnętrznego (w tym relacji z Bogiem, który mieszka w naszym sercu). Druga przestrzeń to relacje między dwoma osobami: między mną i tymi, z którymi jestem w relacji, ewentualnie przestrzeń między dwoma osobami, które spotykam na swojej drodze. Trzecia przestrzeń to relacje grupowe. Relacje człowieka z taką czy inną grupą albo relacje między grupami ludzi. Opierając się na osobistym doświadczeniu, uważam, że do siódmego błogosławieństwa trzeba się stosować w określonej kolejności. Najpierw potrzeba pokoju wewnętrznego, potem należy dbać o pokój z najbliższymi, a dopiero na końcu można zajmować się konfliktami „obcymi”. Najgorzej jest wtedy, gdy o pokój między narodami walczą ludzie, którzy nie mają pokoju wewnętrznego. Odkryliśmy z moją żoną ścisłą korelację między ilością naszych sporów, ich temperaturą i częstością a czasem, jaki upłynął od ostatniej spowiedzi. Kiedy obserwujemy, że po raz kolejny wybucha między nami kłótnia, to każde z nas jest upoważnione, żeby powiedzieć: „wiesz, przerwijmy na razie i wróćmy do tego po spowiedzi”. Na razie jest to najlepsza technika, jaką wypracowaliśmy w małżeństwie. Mówię to również jako mediator, ponieważ techniki zawodowe trudno stosować do samego siebie, a spowiedź działa zawsze. Dopiero niedawno zresztą uświadomiłem sobie z całą mocą treść formuły, którą kapłan wypowiada na koniec tego sakramentu: „Bóg, Ojciec miłosierdzia, który pojednał świat ze sobą, niech ci udzieli przebaczenia i pokoju przez posługę Kościoła”.

Każdy, kto chciałby poważnie potraktować wezwanie do tego, żeby wprowadzać pokój, powinienem szukać najpierw podstawowej choćby wiedzy o konfliktach w ogóle. Każdy też, kto chce szukać pokoju w konkretnej sytuacji, powinien zacząć od refleksji nad tym konfliktem. Mediatorzy mawiają czasem: konflikt przypomina górę lodową. Widzimy 10% na powierzchni, natomiast 90% kryje się poza naszym widokiem. To, co każdy dostrzeże w sytuacji konfliktowej, to zachowania ludzi. Czasami spostrzegamy też przejawy emocji. Nie wiemy jednak tego, co dzieje się tam „pod spodem”, nie potrafimy na pierwszy rzut oka zrozumieć, z czego wynikają takie, a nie inne zachowania i emocje. A tam ukryty jest system wartości danej osoby, jej światopogląd, wiedza, jej doświadczenia i przeżycia. Jaki z tego wniosek? Zanim zareaguję na konkretne zachowanie (potencjalnie angażując się w wojnę z drugą stroną) albo zacznę udzielać rad komuś, kto znalazł się w konflikcie, powinienem sobie najpierw zadać pytanie, czy ja rzeczywiście rozumiem cudze przyczyny i cele. Jak często zdarza się nam wszystkim osądzać kogoś, chociaż nie zadaliśmy sobie trudu zrozumienia go? Jak często sądziliśmy go przy tym własną, bardzo subiektywną miarą, zakładając, że ta osoba powinna zachowywać się dokładnie tak, jak my byśmy tego oczekiwali?

Nasuwa się więc pytanie, czy w ogóle osoby postronne powinny mieszać się w cudze spory. Odpowiedź twierdząca wynika z samej natury sytuacji konfliktowej – kłótnie mają to

do siebie, że wymykają się spod kontroli. Narastające emocje utrudniają nam stopniowo racjonalne zachowania, a wymiana argumentów zamienia się w wymianę ciosów. Konflikt niekontrolowany może doprowadzić strony do autodestrukcji. Szczególnie dramatycznie wygląda to w sprawach rodzinnych. Niezależnie od tego, czy sami znaleźliśmy się w sporze, czy jesteśmy świadkami cudzego sporu, powinniśmy uświadomić sobie wybór, przed jakim stoimy. Możemy, po pierwsze, wybrać strategię unikania; być może niczego nie osiągniemy, ale nie powinniśmy wtedy oczekiwać zbyt wiele od tych, na których usiłujemy w ten sposób przerzucić odpowiedzialność za losy konfliktu. Możemy, po drugie, skupić się na swoim interesie – ryzykując, że nie uda się znaleźć akceptowalnego dla wszystkich rozwiązania. Możemy, po trzecie, ustępować (sugerować ustępstwa) – ryzykując gorycz po jakimś czasie, kiedy pokój „kupiony” ustępstwami objawi swoją niewielką wartość. Możemy, po czwarte, dążyć do kompromisu – domagać się częściowych ustępstw w zamian za ustępstwa drugiej strony. Piąta, ostatnia możliwość jest najbardziej obiecująca: rozmawiamy, aby ustalić wspólnie, czego każdy potrzebuje, szukajmy następnie wspólnie nowych rozwiązań, które będą w maksymalnym stopniu zaspokajały oczekiwania wszystkich.

Na koniec chciałem wspomnieć o dwóch pracach, które uważam w tej chwili za najciekawsze w zakresie teorii konfliktu i radzenia sobie z konfliktami. Autorem pierwszej jest William B. Ury, profesor z Harvardu, antropolog. W „Dochodząc do zgody” (wydanie polskie – 2006) twierdzi on, że to w naszych czasach i w naszej kulturze każda ze stron konfliktu usiłuje skaptować sobie sojuszników, a prawdziwego przyjaciela każdy z nas poznaje po tym, że staje po naszej stronie. Na tej samej zasadzie w gruncie rzeczy opiera się też publiczny wymiar sprawiedliwości: sędzia w procesie próbuje w imieniu całego społeczeństwa ustalić, po czyjej stronie się opowiedzieć. Tymczasem do dziś istnieją pierwotne plemiona (buszmeni z afrykańskiej kotlinie Kalahari, Semai z Malezji czy niektóre plemiona na Nowej Gwinei), w których funkcjonuje model odmienny: przyjaciel nie jest przymuszany do tego, by opowiedzieć się przeciwko drugiej stronie konfliktu, ale może pozostać „stroną trzecią” i pomagać obu stronom w poszukiwaniu porozumienia. Na tej samej zasadzie reaguje cała wioska: obie strony są wzywane do „opamiętania” i porozumienia, aby uniknąć wojny wszystkich ze wszystkimi. Zakładając, że kultura – w erze informacji – jest znacznie łatwiejsza do przebudowy, prof. Ury przedstawia dziesięć potencjalnych ról, jakie każdy z nas może pełnić w konfliktach jako strona trzecia. Na przykład, „żywiciel” rozumie, że strony konfliktów walczą ze sobą o zaspokojenie rozmaitych mniej lub bardziej uświadomionych potrzeb. Stara się więc w miarę możliwości samemu dostarczyć stronom tego, czego może im brakować, a czym łatwo się podzielić, np. uwagą, uznaniem, szacunkiem, schronieniem, szklanką wody...

Druga praca, o której chciałem tu wspomnieć – której autorem jest niemiecki profesor Friedmann Schutz von Thun, (a polskim tłumaczem o. Piotr Włodyga, SBO) – to czterotomowa „Sztuka rozmawiania”. Bardzo spodobała mi się sformułowana w I tomie koncepcja 4 uszu, którymi słuchamy wypowiedzi innych ludzi. Pierwsze z tych uszu skupia się na stronie rzeczowej komunikatu. Drugie – na tym, co inny człowiek mówi o sobie. Trzecie – na tym, jak widzi on naszą z nim relację. Czwarte – na tym, czego od nas oczekuje. Wielką sztuką jest wypowiadać się w taki sposób, żeby nie urazić żadnego z tych uszu. Wiele

też nieporozumień i konfliktów wynika z tego, że słuchamy siebie z różną wrażliwością. Rozbawił mnie bardzo przykład męża, który wraca do domu, siada do obiadu i pyta „co to jest, to zielone w zupie?” Jest ciekawy, czy to pietruszka (aspekt rzeczowy) i chce się tego dowiedzieć (apel). Niestety żona, słyszy w tej wypowiedzi znacznie więcej – męża, który ustawił się w roli krytyka, brak wdzięczności z jego strony za przygotowanie obiadu, brak uznania dla jej wysiłków, brak zainteresowania tym, jak trudno jej było wybrać odpowiedni skład przypraw, a może nawet pretensję i żądanie, by nigdy więcej pietruszki nie dodawała do zupy. U mnie w domu jest odwrotnie: ja częściej gotuję, ale moja żona znacznie lepiej potrafi ze mną rozmawiać!

Największym wyzwaniem dla mnie, zajmującego się zawodowo mediacją, jest odróżnienie sytuacji, kiedy to właśnie ja powinienem zaangażować się w konflikt, od sytuacji, kiedy wprowadzanie pokoju musi sprowadzać się do przekonania stron, że warto poszukać wsparcia kogoś innego. Pamiętam, że bierność jest równoznaczna ze zgodą na to, by bliźni zabijał bliźniego (słowa potrafią ranić potężnie). Staram się jednak równocześnie o neutralność i bezstronność – walcząc z pychą, skłonnością do wypatrywania źdźbła w oku bliźniego i pokusą prostowania każdemu jego ścieżek. Chodzi przecież o pokój każdego bliźniego, a nie moją wizję tego pokoju.

### **Anna Słomka**

Jestem historykiem sztuki i plastykiem. Uczę w szkole podstawowej i gimnazjum, lecz moją najważniejszą życiową rolą jest bycie żoną (25 lat już minęło) i matką pięciorga dzieci. Pamiętam, że ktoś ze znajomych podsumował mnie: „Uprawiasz dwa ekstremalne sporty, 25 lat wytrzymałaś z jednym chłopem i masz pięcioro dzieci”.

Podobnie jak mój przedmówca, ja również zastanawiałam się, co to jest pokój. Hebrajskie słowo szalo'm oznacza nie tylko przeciwieństwo stanu wojny, ale pochodzi od rdzenia, który oznacza być nietkniętym, pełnym, skończonym. To jest suma dóbr towarzyszących pokojowi i sprawiedliwości. Dla Izraelity znaczy to posiadanie urodzajnej ziemi, obfitości jedzenia, bezpiecznego miejsca zamieszkania, możliwość odpoczynku na łonie rodziny, a także triumfu nad nieprzyjaciółmi. Czyli to wszystko, w czym w ich rozumieniu Bóg jest z nimi.

Pytanie jest również do mnie: jak ja mogę ten dar Boży osiągnąć? Na pewno przez ufną modlitwę, ponieważ tak jak wszystkie dary, jest to łaska od Boga i człowiek może zrobić jedno – otworzyć się na tę łaskę, nie przeszkadzać jej i współdziałać z Bogiem we wprowadzaniu pokoju na świecie. Zmartwychwstały Chrystus przychodząc do Apostołów powiedział „pokój wam”.

Staralam się przyglądać uważnie sobie samej i uczyć się metod, które mogę zastosować jako żona, matka, nauczyciel, dla tworzenia kultury pokoju. Ponieważ jesteśmy z mężem osobami, które bez Pana Boga nic by nie zrobiły, czujemy, że nasze małżeństwo, nasz byt i nasza rodzina są zależne od Niego i tylko od Niego. Bez wypracowania właściwych narzędzi działania nie byłibyśmy w stanie w tej rodzinie wytrzymać tyle czasu i przy okazji jeszcze zrobić coś dobrego. W takiej dużej rodzinie jest bardzo dużo wzajemnych interakcji. To jest

cała sieć, którą przy odrobinie nieuwagi można bardzo łatwo stracić. Ja się czasami czuję jak na wojnie. Jestem na nią wysłana i mam czynić pokój, ale metodami Bożymi.

Chciałabym sięgnąć do warsztatu psychologicznego. Dla mnie podstawową sprawą było rozpoznanie, czym ja dysponuję, czym dysponuje każdy z nas, mój mąż i moje dzieci, dalej moi uczniowie, wszyscy, z którymi się stykam. Każdy z nas dostał od Boga pewien temperament. Jedni są wojownikami, inni nie. Chciałabym przyjrzeć się tej swojej cesze, co to właściwie znaczy, że nie jestem wojownicza. Czyli „staram się czynić pokój, ponieważ mam takie usposobienie”. Na pewno jest mi łatwiej niż innym, na przykład mojemu mężowi, który jest urodzonym wojownikiem. Temperament to jest zespół pierwotnych cech osobowości, jest ontologicznie dobry i nie podlega żadnej ocenie. Człowiek z powodu grzechu pierworodnego może zmienić te pierwotne cechy osobowości. Używać ich tak lub inaczej. Może być do sprzyjające czynieniu pokoju, ale może być też jego zagrożeniem.

Próbowałam się zastanowić nad tym, jaka jestem. Raczej unikam walki i jej nie lubię. Nie za wszelką cenę oczywiście, ale za wysoką cenę. Wiem, że ta cecha, takie unikanie walki, jest przez ludzi wojowniczych traktowana często jako słabość. Oni tym pogardzają, Oni tak nie chcą. Niemniej ja uważam, że ta cecha może być wielką wartością. Jeżeli konflikt dotyczy rzeczy mało ważnej, nieistotnej, potrafię zrobić krok do tyłu, bo uważam, że nie ma co kruszyć kopii o szczegóły. Wycofuję się, oddaję pole. Dla mnie najważniejsza jest relacja z drugą osobą. Nie chcę za wszelką cenę forsować mojej racji, a stracić w tym czasie dużo więcej. Dla mnie ważna jest atmosfera przyjaźni, życzliwości i miłości w rodzinie, w pracy, w gronie znajomych. Nie lubię się narażać z byle powodu na antypatię. To jest dobre i złe jednocześnie. Trzeba bardzo uważać, bo łatwo można popaść w konformizm.

Jestem też skłonna do tego, że poproszona o coś, w pierwszym odruchu powiedziec „tak, ja to zrobię”. Człowiek wojowniczy w pierwszym odruchu mówi „nie zrobię tego, daj mi spokój”. Potem przychodzi refleksja, zastanawiam się, czy ja dam radę to zrobić, może lepiej się tego nie podejmować, ale pierwszy odruch jest „tak”. Często biorę na siebie zbyt wiele. Za łatwo się zgadzam i potem bywa, że tego żałuję.

Ugodowiec szuka w kontaktach z ludźmi tego, co łączy. Lubi wspólny mianownik. Wojowniczy osobnik natomiast przygląda się temu, co różni, co dzieli. Szukanie wspólnego mianownika związane jest z tolerancją, z cierpliwością, z przyjmowaniem ludzi takimi, jacy są, nieraz z ich odmiennymi poglądami. Łączy się to z pewną elastycznością przyjmowania tego, co jest trudne, bo czasami następuje szereg trudnych sytuacji i ja się z tym godzę. Mam taką naturę, że raczej się godzę, niż z tym walczę. Staram się jakoś to przyjąć. Ale to są te zagrożenia. To jest ta druga strona medalu. Ja się chcę podobać innym, chcę, żeby mnie lubiano, ale czasami przez to, że nie chcę zawieść innych, mogę nie powiedzieć tego, co naprawdę myślę. Czasami widzę, że to jest wygodnictwo, tchórzostwo. W ważnych sprawach ustąpić dalej nie mogę. Mimo że dążę do pokoju, muszę powiedzieć stop.

Zadaję sobie pytanie czy jestem błogosławiona? Jeżeli nie podejmuję walki o sprawy naprawdę ważne, to myślę, że tego błogosławieństwa nie mam. Cenię wytrwałość ludzi wojowniczych, którzy prą do osiągnięcia wyznaczonego celu. Ja się tego dopiero uczę. Nie ulegam emocjom, natomiast grzech zaniechania przytrafia mi się często.



W Liście do Efezjan, w rozdziale 6, jest opis wojownika walczącego w Bożej sprawie. Tam są konkretne wskazówki, że mamy wdziać Bożą zbroję, przepasać biodra prawdą. Ugodowiec i wojownik mają swoje metody, ale o prawdę mamy walczyć wszyscy. Nakładać pancerz sprawiedliwości i hełm zbawienia, używając miecza Słowa Bożego i tarczy wiary. Jest to wspaniały fragment. A w gruncie rzeczy chodzi o to, by być tym dobrym wojownikiem, który używa właściwego oręża. I dziękować za to, że ugodowość łączy się z łaską pokory, z cierpliwością do ludzi, z tym, że jest się nieskorym do gniewu. To jest dobra cecha. Ja za to Bogu dziękuję. Ale proszę Go również, żeby mnie pilnował, ponieważ moja ugodowość może przerodzić się w lenistwo, w konformizm i w wygodnictwo.

W szkole, w której uczę, uczniowie mają czasami konflikty między sobą i ja, chcąc nie chcąc, muszę w tym uczestniczyć. Staram się rozpoznawać ich temperament, aby właściwie zadziałać i doprowadzić do zgody. Pamiętam taką sytuację, kiedy dwóch chłopców się mocno o coś posprzeczali, prawie pobiło. Doprowadziłam do tego, że podali sobie rękę na zgodę, ale wiedziałam, że jeden z nich (bardziej sekundalny) wymaga więcej czasu, żeby był w stanie łaskawiej spojrzeć na kolegę. Pod koniec lekcji, po trzech, czterech godzinach zajęć jeszcze raz wzięłam ich obu i powiedziałam: „słuchajcie, czy na pewno jesteście pogodzeni?” Wtedy dopiero obaj szczerze odpowiedzieli twierdząco. Każdy ma inny czas potrzebny na refleksję i na uporanie się ze swoim poczuciem krzywdy.

### **Maja Komorowska**

Po pierwsze, chciałam powiedzieć, że jest ogromna różnica między słowem mówionym a pisanym. Kiedy mówimy, twarzą w twarz, mówimy inaczej, niż o tym samym piszemy. Pamiętam, że kiedy jeździłam do więzień w stanie wojennym, u dominikanów były wielkie tłumy ludzi. Chciano nagrywać to, co mówiłam. Nie zgodziłam się. Nie mogłabym tego autoryzować. Jeżeli chce się nawiązać kontakt ze słuchającymi, to trzeba pokazać emocję, które w nas są przy użyciu słów, które w słowie pisanym należy zmienić.

(W związku z tym, co zostało powiedziane, autoryzacja tekstu ma szczególne znaczenie dla pani Maji Komorowskiej. Niestety, obecnie ma złamaną rękę, co uniemożliwia jej pisanie, a ponadto koniec roku akademickiego z nawałem zajęć. Obiecała przysłać swoją wypowiedź, tak aby mogła być opublikowana w ósmym tomie „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”, zawierającym wszystkie Konwersatoria z roku akademickiego 2012-2013. Przyp. red.)

### **Dyskusja**

#### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Pokój w rodzinie. O tym chciałam powiedzieć parę słów. Mamy dwie córki. Gdy starsza miała około 16-17 lat, trudno było nam do niej dotrzeć. Na nasze uwagi reagowała płaczem. Na rekolekcjach dla małżeństw, które sami przeszliśmy jako uczestnicy, a potem współprowadziliśmy, poznaliśmy wartość pisanych do siebie listów, listów pisanych z sympatią do odbiorcy. Wykorzystaliśmy je w naszych wzajemnych relacjach z naszą córką.

Gdy były jakieś konfliktowe sytuacje, pisaliśmy listy, uzasadniając naszą prośbę, równocześnie wyrażając w nich wiele naszej miłości do naszej córki. Pamiętam naszą radość, gdy na napisany list dostaliśmy od naszej córki odpowiedź, również na piśmie. Zachowaliśmy go na pamiątkę. Potem parokrotnie radziliśmy tę metodę innym rodzicom i – jak sygnalizowali nam – z dobrym skutkiem.

Jeszcze druga sprawa, o której chciałam wspomnieć. Chcieliśmy mieć pięcioro dzieci. Takie było nasze nastawienie. Takie marzenie. Pan Bóg dał tylko dwie córki, ale pozytywne nastawienie na dzieci zostało. W naszym domu zawsze było pełno dzieci – koleżanek i kolegów naszych córek. Jest tak do dziś. Kiedy jedziemy na działkę, to wnuczki nasze zapraszają koleżanki. Cieszymy się, że lubią do nas przyjeżdżać. Co jest najważniejsze w tych wzajemnych relacjach? Sądzę, że miłość. Dzieci wiedzą, że my je kochamy. Lubimy z nimi rozmawiać, a najważniejsze – lubimy ich słuchać. Wiele się od nich uczymy. Relacje oparte na wzajemnej sympatii niosą pokój.

Ostatnią sprawą, którą chciałam poruszyć, jest to, że trzeba uważnie patrzeć wokół siebie i tam, gdzie widzimy, że coś się źle dzieje, reagować, ale tak reagować, żeby nie wzbudzać nienawiści i niechęci, ale pokazywać drogi wyjścia.

Na koniec poproszę o wypowiedź panią Mariannę Łacek, która przyjechała na nasze spotkanie specjalnie z Australii. Jest autorką wielu wypowiedzi do naszych Konwersatoriów, które otrzymuję od niej drogą e-mailową. Czytamy je wszyscy z dużym zainteresowaniem. Dziękujemy jej za to.

### **Marianna Łacek**

Przede wszystkim czujemy się z mężem zaszczytzeni zaproszeniem na dzisiejsze Konwersatorium. Wprowadzanie pokoju połączone jest prawie zawsze z rozwiązywaniem konfliktów. Konflikty w rodzinie, w pracy, w społeczności są nie do uniknięcia.

Na początek parę słów o nas. W Australii mieszkamy od ponad 40 lat i prawie tak samo długo jesteśmy małżeństwem. Wychowaliśmy czwórkę dzieci i trudno powiedzieć, że obyło się to bez konfliktów. Na szczęście konflikty umiał zawsze rozwiązywać mój mąż. Ja jestem spontaniczna, wybuchowa, działam natychmiastowo. Mój mąż natomiast jest człowiekiem rozważnym, mądrym, potrafiącym łagodzić i rozładowywać narastające burze. Dzieci to w tej chwili dorośli już ludzie. Urodzili się oczywiście w Australii i tam pokończyli studia, ale czują się Polakami. Dwoje nawet osiedliło się w Polsce. Cieszy nas szczególnie to, że wszyscy są praktykującymi katolikami. Wychowaniem religijnym nie można obarczać księży czy katechetów. Kościół to my, zgromadzenie wiernych. Dlatego największą rolę, naszym zdaniem, ma tutaj do spełnienia dom i rodzina.

Pracując w australijskim szkolnictwie, wielokrotnie musiałam szukać rozwiązywania konfliktów, które były dla mnie czymś zupełnie nowym. Pamiętam, że kilka lat temu chłopcu z mojej klasy maturalnej języka angielskiego groziło skreślenie z listy uczniów. Nie zaliczył egzaminu z chemii i tym samym brakło mu wymaganej liczby przedmiotów maturalnych. Wiedziałam, że jest on z pochodzenia Indonezyjczykiem. Ponieważ tego języka nie było w naszej szkole, mógł zapisać się na korespondencyjny kurs indonezyjskiego, pod warunkiem że ktoś z nauczycieli podejmie się roli jego opiekuna. Zgodziłam się bez wahania, chociaż

wymagało to dodatkowych godzin pobytu w szkole, za które nie otrzymywałam żadnego wynagrodzenia.

Chłopiec pracował solidnie. Wykonywał pod moją opieką przysyłane raz w tygodniu zadania, przygotowując się do matury, którą miał zdawać w ośrodku korespondencyjnym. Próbną maturą była ostatnim jego szkolnym egzaminem. Trwała ponad 3 godziny – nagrywany na taśmę egzamin ustny oraz 3 części egzaminu pisemnego. Kiedy już po godzinie 19.00 kończył się mój długi, pracowity dzień, chłopiec zapytał, czy mnie ktoś za to płaci, a jeśli nie, to dlaczego ja to robię. Nigdy się nie zastanawiałam. Rzeczywiście, dlaczego ja to robię. „Wiesz – powiedziałam mu – chyba dlatego, że ja pochodzę z kraju, którego kultura wymaga, aby przyjść z pomocą drugiemu człowiekowi nawet nie czekając, aż on o to poprosi, a na dodatek jestem katoliczką i moja religia też nas tak uczy”. Chłopiec pomyślał chwilę. „A wie pani co, ja mógłbym panią zabić i poszedłbym prosto do nieba, bo pani nie jest muzułmanką. Moja religia mnie tak uczy”. Oniemiałam ze zdumienia. Jestem sama w szkole z dziewiętnastoletnim chłopcem, który mówi takie rzeczy, patrząc mi prosto w oczy. – „Ale przypuszczam, że tego nie uczynisz” – pytam go. „Nie. Pani mnie pewnie teraz nienawidzi.” – „Nie, nawet nie myśl o tym, że miałabym cię nienawidzić. Moja religia uczy mnie, że mam cię kochać jako człowieka, nawet jeśli byłbyś moim nieprzyjacielem. Nie jest sztuką kochać przyjaciół, ale kochać nieprzyjaciół, czyli swoich wrogów, to wymaga dużego wysiłku.”

Po maturze chłopiec przyszedł mi podziękować. Tamta rozmowa widocznie nie dawała mu spokoju, bo zapytał: „Czy pani uważa, że moja religia jest gorsza od pani religii?” – „Nie, tak nie uważam. Wierzę, że moja religia jest prawdziwa. Staram się przestrzegać jej zasad. Przestrzegaj i ty swojej. Poznaj ją dokładnie, a na pewno nie znajdziesz tam niczego, co usprawiedliwiłoby agresję.” Chłopiec mi podziękował, a odchodząc, dodał jeszcze: „Będę musiał więcej poczytać na temat religii katolickiej.”

Do szkoły, w której pracuję, uczęszcza 1300 uczniów w wieku 12-19 lat. Pochodzą oni z różnych środowisk. Reprezentują około 70 różnych języków etnicznych, którymi porozumiewają się w domu. Oczywiście językiem obowiązującym jest angielski. Bardzo często obok siebie w klasie siedzą uczniowie ze skłóconych krajów, uwikłanych w zbrojne konflikty. Potrzeba dużo wysiłku i taktu ze strony nauczycieli, aby zachować w szkole spokój i harmonię. Nauczyciele są bardzo przyjaźnie nastawieni do uczniów, a uczniowie respektują swoich nauczycieli.

Oprócz tego, że mamy rodziny i pracujemy, każdy z nas obraca się w pewnej społeczności, wśród znajomych i przyjaciół. Jest jednak zasadnicza różnica między Polakami mieszkającymi w kraju i na emigracji. Tutaj większość z nas nie ma dalszej rodziny, która mogłaby pomóc, interweniować w sytuacji kryzysowej. Bardzo często polegać musimy tylko na sobie. Na pewno cementuje to bardzo rodzinę, ale również wystawia ją także na próbę. Rolę dalszej rodziny przejmuje często grono najbliższych przyjaciół, którzy chętnie służą pomocą – również i w rozwiązywaniu konfliktów. Często, nie mając fachowego przygotowania mediatorów, kierujemy się intuicją i zdrowym rozsądkiem, jeśli tego wymaga sytuacja konfliktowa, z którą przyszło nam się zmierzyć.

Pamiętam, w jeden taki wietrzny, zimowy wieczór, poderwało nas na nogi mocne pukanie do drzwi. Wpada nasza bliska znajoma i rozhisteryzowanym głosem krzyczy: „biegli za mną! gonili! gwałcili!” Pobiegłam szybko do kuchni, żeby przynieść jej coś do picia. Wracam ze szklanką soku i patrzę, a mój mąż ją strofuje. Byłam zdziwiona. Wydawało mi się, że powinien ją jakoś uspokoić, pocieszyć, zapewnić, że jest bezpieczna, a on stoi nad nią i prawi jej kazanie: „Jak mogłaś! To nie jest w porządku! Tak nie wolno!” – Okazało się, że pokłóciła się z mężem w samochodzie. Kiedy stanął na czerwonych światłach, ona po prostu wyskoczyła z auta i przybiegła do nas. Miała pretensje do męża, że pozwolił jej wyskoczyć, że nie pobiegł za nią. Była noc, przecież mógł ją ktoś gonić, pobić, zgwałcić. „To co, miał zostawić samochód na skrzyżowaniu i biec za tobą?” – kontynuował mój mąż...

Ja tymczasem przeszłam do drugiego pokoju, żeby zatelefonować do jej męża. Najpierw uspokoiłam go, że ona jest u nas i nic jej się nie stało, ale i on dostał ode mnie swoją porcję kazania: „Jak mogłaś doprowadzić ją do tego, że musiała wyskoczyć z samochodu? Czy sobie nie zdajesz sprawy, na co ją naraziłaś? Tak się nie robi!...” Zamiast użalać się nad każdym z nich z osobna, przyznawać im rację, a tym samym doprowadzać do jeszcze większego zaognienia się konfliktu – instynktownie wybraliśmy inną taktykę. Należało pokazać i jemu, i jej błędy, które każde z nich popełniło. Odprowadziliśmy znajomą do jej domu, gdzie czekał mąż z przeprosinami. Mimo późnej pory, skończyło się kawą i butelką wina. Konflikt został zażegnany. Tego typu przypadków mieliśmy wiele...

W Australii ludzie pochodzą z wielu różnych krajów. Niektórzy zbyt słabo znają język angielski, żeby do siebie nawzajem zagadać. Zawsze myśleliśmy, że w Polsce jest inaczej. Nawet obcy ludzie byli przyjaźnie nastawieni do siebie. Niestety, spotkało nas rozczarowanie. Po upływie kilku lat od naszej ostatniej bytności w Polsce dochodzimy do wniosku, że jednym z głównych problemów także i w naszej Ojczyźnie jest izolacja. Brakuje grup społecznych, zniknęła spontaniczność. Wczoraj jechaliśmy pociągiem z Poznania do Warszawy. Cały wagon wypełniony podróżnymi. Zajęte wszystkie miejsca. W ciągu kilkugodzinnej podróży w wagonie panowała kompletna cisza. Nikt z nikim nie rozmawiał. Nikt do nikogo nie zagadał. Nikt nie zażartował ... Jeszcze nie tak dawno byłoby to nie do pomyślenia. Sąsiad zagadałby do siedzącego obok sąsiada. Wywiązałyby się przyjemna pogawędka...Rozmowy w pociągu mają coś ze spowiedzi. Opowiada się o swoich problemach człowiekowi, który na pewno nie zrobi z tego użytku, bo drugi raz najprawdopodobniej się już tego człowieka nie spotka. Rozmowa taka rozładowuje emocje, buduje więzi między ludźmi i jest także sympatycznym przeżyciem. Jeśli zamkniemy się w swoich wygodnych czterech ścianach, to zagubimy sedno swojej kultury, która zawsze była otwarta na drugiego człowieka.

*Spisał z nagrania Marcin Borzęcki*